



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### Tytus Chałubiński.

Dnia 4-go Listopada zgasł w Zakopanem, dokąd się był usunął na zasłużony wypoczynek, doktor medycyny Tytus Chałubiński, nie tylko w mieście naszym i kraju, ale i w świecie naukowym znany z głębokiej wiedzy, tak lekarskiej jak i przyrodniczej, oraz z wielu uczonych prac, ogłaszanych drukiem i wysoko cenionych przez specjalistów. Posiadał przytem rozległą praktykę lekarską, a za-

jak rzadko i dobrym ową dobrocią, bez granic, która cuda istne tworzy, bo sama cudownem jest w sercu zjawiskiem. Dla serc takich ogrom zasobów wiedzy, skarby doświadczenia, są tylko środkami ułatwiającemi im dojście do celu, który uważają one za najświętszy, spełnienie obowiązku, który jest dla nich najmiłszym. Celem tym niesienie ulgi cierpiącym, obowiązkiem — wysługiwanie się społeczeństwu. Niósł też ulgę i wysługiwał się gorliwie od młodzięcych lat prawie aż do sędziwych, i ma za to najpiękniejszą nagrodę, jaką ludzie dać mogą człowiekowi — ma miłość i wdzięczność ogólną.

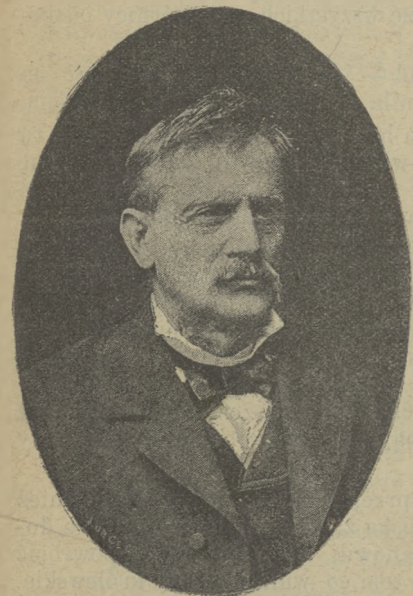
### PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

(Dalszy ciąg).

— Kasztanku!... zawołała, a koń z stłumionem rżeniem skoczył ku niej, opierając kształtną głowę na jej ramieniu, podsuwając się pod rękę dla zyskania pieszczoty i na najrozmaitsze sposoby sobie właściwe, okazując radość serdeczną. Tak, to był kasztan, mądry kasztan ze stadniny pana Bonara pochodzący, i odstąpiony panu Żukowi, któremu koniecznie takiego mądrego konia było potrzeba, aby i pod wierzch i w wozie chodził i samą panią Żukową bezpiecznie czasem nosił na grzbiecie. Bo pan Żuk nie był przecież tak bogatym, aby mógł oddzielne cugi i wierzchowce trzymać. Młodej dziewczynie lzy stanęły w oczach i serce gwałtownie zadrgało wzruszeniem, bo pieszczoty ulubieńca



tęj bystrości umysłu, która ciągłemi studjami wsparta, długoletniem doświadczeniem rozwinięta, pozwalała mu odgadnąć chorobę za jednym rzutem oka. Nie nauką jednak wcale ani wiedzą, nie ilością szczęśliwie przeprowadzonych kuracyi zjednał on sobie serca prostych górali, których smutny tłum ciągnął za jego trumną; nie nauką tylko i nie wiedzą jedynie zasłużył on na tę cześć, która otacza jego pamięć wśród inteligentnych sfer społeczeństwa. Uczonym był i rozumnym, to prawda, ale przede wszystkim, miłosiernym był



przypomniali jej żywo dom rodzinny, a noc przebyta w niepokoju, usposabiała do płaczu. A kiedy pieszczony konik po swojemu ją przychyłał się podając grzbiet do siadania, jak zwykł był czynić dla dawniej swej pani i potem dla pani Żukowej, dziewczyna dosiadła go prawie niechcący, bo lubiła jeździć, a tutaj na dzielnych lecz w pół dzikich miejscowych koniach, nie śmiała tej przyjemności próbować. Kasztan wtedy zamiast chodzić po dziedzińcu jak dotąd, skierował się do furtki, Wanda nie zsiadając odłożyła zapórę, koń schylił się, a ona położyła mu się na szyi, i tak wysunęli się z niskiej, nie dla koni przeznaczonej furty, a potem, Kasztan podniósł głowę, rozwinął szeroko ruchome nozdrza, wciągnął ogromny łyk powietrza w pierś potężną, i rozpuszczając na wiatr ogon i grzywę, śmignął galopem przez kręte dróżki leśne, przychyłając się jak chart w biegu, z lekkim swym ciężarem na grzbiecie.

W pierwszych chwilach szalonej jazdy, dziewczyna oburącz trzymająca konia za szyję i grzywę, straciła prawie przytomność, ale straciła ją z radości; czuła się wolną, a nie wątpiła że mądry kasztan niesie ją do rodziców. Kiedy zaś przyszło zastanowienie, kiedy Ewa opuszczona i chora w rozbójniczym dworcu stanęła przed oczyma przyjaciółki, to Bonarówna zadrżała i usiłując powstrzymać konia i zawrócić napowrót, obejrzała się, ale wtedy wcale już lasu, z którego wyjechała nigdzie widać nie było. Słońce świeciło wysoko na niebie, góra Zar z Barwałdzkim zamczyskiem wznosiła się na prawo, chata na Zbójceckim Ostrowiu czerniała na lewo, a kasztan pędził po moście czy grobli, znaną już drogą wśród kilku gromadek coś kopiających tu i owdzie ludzi, prosto do Krakowa. Ludzie ci oglądali się za szalonym koniem i dziwnym jeźdźcem, a zawstydzona pani, ukrywając twarz w grzywie kasztana, ani już myślała go wstrzymać. Szalona radość i straszna obawa, że ujrzy rodziców i jak ich zastanie? szarpały jej sercem doprowadzając ją do obłędu. W takim stanie ducha, nie wiedziała prawie jak i kiedy dopadła miasta i rodzinnego domu; dopiero w objęciach ojca i matki, wśród ciężkiego rozpaczliwego płaczu wróciła do przytomności. Ale wróciła po to tylko, aby rozplakać się na nowo na myśl, co się teraz stanie z Ewą? Czy rozbójnicy nie zechcą mścić się na niej za ucieczkę towarzyski? Czy ona sama nie umrze ze strachu i żalu za zginioną przyjaciółką?

Z trudnością zrozumiałwszy urywane a śpieszne opowiadanie córki, pan Bonar copędzej zgromadził domowników swych i zaklął ich na milczenie o jej zjawieniu się w domu. Kasztan nie posiadający się z radości, wśród pieszczot całej rodziny, zamknięty został starannie w stajni, z dozwoleń przechadzania się tylko po sadzie, o co się wcale nie gniewał; ten i ów w mieście wspominał coś o jakimś dziwnym koniu i jeźdźcu, który przeleciał jak szalony przez tę i ową ulicę, lecz skutkiem ostrożności pana Bonara, gadanie ucichło i nikt o zjawieniu się Bonarówny i kasztanka nie wiedział, gdy tymczasem pocichu i ostróżnie porozumiał się pan Bonar z panem z Rabsztyna i z innymi panami, i doszedł aż do samego króla... Wszystko to bardzo pocichu, ażeby rozbójników nie spłoszyć, a to tem bardziej że w Barwałdzkiej okolicy dziwnie tymczasem zaczęły dziać się rzeczy. Pomiędzy ludźmi pracującymi tam i oglądającymi się za pędzącą na rozszałym koniu Bonarówną, jeden tylko młody parobczak nie obejrzał się i nie widział jej prawie, a to dla tego że zajęcie, któremu oddany był w tej chwili, pochłaniało całkowicie jego uwagę.

Był to młody Antek Borek, wychowaniec Żuka i przyjaciel mądrego kasztanka, którego byłby poznał niemylnie, gdyby był choć okiem na niego rzucił. Nie rzucił jednakże, bo szedł powoli wzdłuż mostu, zważając baczenie na każdy swój krok, a zanim i obok niego szło kilku panów, uczonych górników i innych, którzy po to zawezwali i przywieśli tu z sobą Żukowego parobczaka, ażeby im wskazał miejsce, w którym Żuk zapadł się w trzęsawiska.

Czyniono tam długie poszukiwania, ale niestety! daremnie. Na grobli ułożony był niby most z grubych kłód,

szczelnie spojonych że niepodobna ich było poruszyć, a następnie przypuścić, że się tu ktoś mógł zapasać z wozem i końmi w trzęsawisko, którego nie było wcale. Cała więc opowieść Antkowi wydała się w końcu wierutną bajką. Byli nawet tacy, którzy zaczęli podejrywać biednego chłopca o zamordowanie pana, którego pieniądze chciał zagarnąć. Przypuszczenie to tak dalece utrzymało się później w przekonaniu wszystkich, że mu zaraz straż dodano i postanowiono natychmiast odesłać do więzienia.

W chwili wszakże gdy strażnicy Borka wchodzili już z nim na górę, kilku nowych jeźdźców dążących w stronę Krakowa ukazało się w oddali i zbliżyło do panów rozmawiających jeszcze. Pierwszy z nowoprzybyłych w bogate otulony futra, z których tylko twarz o cudzoziemskich rysach wyglądała, wstrzymał konia i powitawszy znajomych spytał, kogo to tam jako więźnia prowadzą?

— A toż tego Antka Borka panie Kalimachu — odpowiedziano — któren jak się teraz pokazuje, kto wie czy nie sam zabił swego dobroczyńcę Żuka.

Mądry Kalimach jeden z nauczycieli królewiczów, obecnie wracający z małej jakiejś wycieczki, znał dokładnie głośną sprawę Żuka, a teraz wypytawszy o to co dzisiaj się zdarzyło i Antka w podejrzenie podał, pokręcił głową i zamyslił się głęboko. Zsiadł zaraz z konia, obejrzał uważnie całą miejscowość a potem rzekł do górników:

— Czy wiecie dla czego nie możecie tych kłód pojedynczo ruszyć? Oto dla tego, że muszą być one silnie spojone wszystkie razem od spodu: tu musi być zdradziecko a zrecznie urządzone most ruchomy, pochyły, po którym nawet konie mogą schodzić bez szwanku, w głąb jakichś podziemi! Zamiast je chcieć odejmować, rąbcie albo ogniem wypalcie!...

— We włoskiej krainie mogłaby zapewne taka rzecz być z pomostem ruchomym zrobiona, ale u nas te podstępny się nie praktykują... — mruzcili panowie. Górnicy tymczasem rozniecili ogień na środku grobli, ale i ogień nie chwycił tych prawdziwie na wół skamieniałych drzew ogromnych, więc pomagano mu toporami, aż nagle, po długiej pracy, najniespodziewaniej wół przepalony i obrąbany kawałek pomostu znikł z głuchym traskiem, zapadając się kędyś pod ziemię... Okrzyk wyrwał się ze wszystkich ust: górnicy odskończyli.

— Ratuj Panie Boże! — jęknął Borek upadając na kolana, bo mu się uprzytomniła straszna chwila nieszczęścia.

— To dziwne, cóż to być może?... ot trzęsawiska tu muszą być bezdenne i nic więcej — mówili panowie trochę zakłopotani zaglądając w czarną przepaść. Tymczasem spuszczone pochodnię, która oświeciła ponure podziemie.

Zeszedłszy tam górnicy zobaczyli łańcuchy i koła ogromne, słowem cały jakiś nieznan przrząd stwierdzający domniemania pana Kalimacha... Pośpieszył tam i on sam wrzecie a za nim panowie nie radzi z tryumfu nienawistnego sobie cudzoziemca... On wszakże milczał głęboko i rozpatrywał tylko wszystko dokoła, aż dostrzegł na ubitym gruncie wyraźne ślady kopyt końskich, a dalej jeszcze kół ślady, gdyż podziemie było obszerne i ciągnęło się wyraźnie aż pod mury barwałdzkiego zamku...

Lęk jakiś mimowolny przejął obecnych gdy się również o tem przekonali... Ale siedliska zbójców należało jedynie dochodzić z siłą zbrojną, postanowili więc niebawem powrócić do Krakowa i zawiadomić o tem co widzieli, sądy królewskie.

Gdy tak poruszając barwałdzką groblę starano się odnaleźć ślady pana Żuka, on sam siedział zdrow i cały lubo bardzo smutny, w sklepionej piwnicy, do której wiodły właśnie owe drogi podziemne, nie przeszukiwane po odkryciu pieczary służącej im za przedsionek. Piwnica ta była niejako gospodą rozbójników, mając inne przyległe do siebie lochy. Pan Żuk tęsknił do żony i dzieci i darowałby już z ochotą utracone mienie, gdyby mógł do nich powrócić. I teraz błagał Świeborowskiego, który stał przed nim aby go wypuścił obiecując mu że go nie zdradzi wolność odzyskawszy.



— Mniejsza o mnie — rzekł mały wódz ponuro, (bo dziwnie sposepniał dowiedziawszy się o odkryciu na grobli) wypuściłbym was był dawno zabrawszy tylko towar wasz za okup, wy przysięglibyście mi wieczne milczenie, a przed światem powiedzielibyście pół prawdę, że was rozbójnicy napadli i obdarli i na temby się skończyło, jak było już z bardzo wielu ludźmi, gdyby nie ten wypadek, że wasz Antek przeklęty wyratował się jakimś cudem z pułapki i wygadał przed ludźmi gdzie i jak co było, i naprowadził mi na kark górników i kopaczy...

Żuk załamał ręce:

— A więc jakże ze mną będzie? Czy wiecznie mię trzymać będziecie w więzieniu? Czy też zabijecie mię, choć za ręczam że milczałbym gdybyście mię wypuścili? — zapytał. Mały wzruszył ramionami:

— Mój panie Żuku — rzekł — zastanówcież się że teraz musielibyście chcąc nie chcąc gadać prawdę wobec tego co już o was wiedzą; kto wie czy nie przyjdzie mi drapnąć gdzie w świat daleko. . . Puszczę więc was wtedy gdy sam już będę bezpieczny...

— O! gdybyż tak się stało!... i co prędzej! — zawołał kupiec ręce i oczy w górę błagalnie wznosząc.

— Dzięki za dobre życzenia!... — odrzekł żartobliwie mały człowiek — powiadam wam że będzie to w takim tylko razie, jeżeli mię jak lisa z nór moich tutejszych wykurzą...

— Ale mówicie że ma się na to?...

— A no ma — mruknął rozbójnik. — Zwłaszcza jedno małe lichy, dziewczyna, którą jedynie dla okupu schwytałem, zaleje mi podobno gorącego sadła... bo wymknęła się i niby przepadła, czego jój z serca życzyć, ale coś mi się zdaje że przyczała się gdzie w kącie, a jeżeli dostanie się do ojca swego to już po mnie. Bądźcież dobrej myśli tymczasem. A nie brak wam tu żywności lub wygody jakiej?

— Nie, niczego, prócz wolności — odparł Zuk i dodał baczenie się w niego wpatrując. — Co wy też za szczególnie dobry rozbójnik jesteście?

Mały rozśmiał się wesoło.

— Bardzo mi to słyszeć przyjemnie — rzekł. — No, a teraz żegnajcie, bo z wielkiej poczciwości, zanim przyjdzie drapnąć, muszę jeszcze ulżyć kłopotu pewnemu młodemu małżonkowi, zabierając posąg jego żony, który właśnie pojutrze mu wiozą.

(d. n.)

## PIEŚŃ

ŚPIEWANA NA PRZYŁADKU HELI PRZEZ LUDNOŚĆ RYBACKĄ  
NA NUTĘ KRAKOWSKĄ.

Płynę sobie łódką, w rękę długie wiosło,  
Nie masz jak to nasze rybackie rzemiosło!  
Rybackie rzemiosło na tych nurtach wody,  
Gdzie sobie wciąż mile płynę wśród swobody.

To morze jak życie, przy pięknej pogodzie  
Cicho sobie płynę, aż miło na wodzie.  
Lecz gdy grają gromy, i wichur się zrywa,  
Wtedy woda kipi, wre, szumi gniewliwa.

Bo morze to żyje... Jako lot dla ptaka,  
Tak morze jedynem jest życiem rybaka.  
Tu rośnie, tu żyje, tu swe plony zbiera,  
A nieraz w bałwanach grób mu się otwiera.

Niechaj przy warsztacie, kto chce się mozoli,  
Niechaj inny z pługiem szuka chleba w roli,  
Albo także w handlu zyskuje obficie,  
Ja tu morzu wierny będę całe życie.

Tu płynę swobodnie i przy pracy nucę,  
Gdy stawiam me żaki, gdy niewód zarzucę,  
A jakaż to radość w sercu mem się wznieci,  
Gdy ryb rozmaitych ciągnę pełne sieci.

Wszak gdy apostoły Zbawca swe wybiera,  
To nie na bogacze, ni mędrce spoziera,  
Ni na wielkich świata, ale idzie skoro  
Pomiędzy rybaki prosto nad jezioro.

Dzięki niewymówne niechaj będą Panu,  
Że swe ucznie wybrał z rybackiego stanu,  
Szczęśliwy jest rybak, bo na tem przestaje,  
Co mu jego praca codziennie wydaje.

Więc dalej na morze, zawsze z nami płynie,  
Panna Przenajświętsza co w Swarzewie słynie;  
Słynie już od wieków, a rybaków strzeże,  
Co jój zaufawszy, silnie stoją w wierze.

## TAJEMNICZA KULA.

Do czego dojść można ćwicząc się w giętkości ciała, dowiódł francuzki akrobata Lepère, który dawał obecnie w Paryżu przedstawienia. z tak zwaną tajemniczą kulą. Sztuczka to była istotnie zaciekawiająca, dla tego też podajemy jój rysunki i krótki opis ułatwiający zrozumienie. Na scenie przed oczami widzów, ustawiono z deski rodzaj mostu, który ku obu końcom znacznie się pochylał; na najwyższym jego punkcie środkowym leżała kula z papieru ładnie pomalowana w gwiazdy, na tle odmiennj barwy, mająca 75 centymetrów średnicy. Otóż kula ta poczęła naraz chwiać się, poruszać, aż wreszcie ku ogólnemu zdziwieniu, zwołna zesunęła się po pochyłości deski, aż na sam jój koniec. Zdawało się, że już spadnie na ziemię, lecz nie — zatrzymała się jakby potrzebowała namysłu i — z pośpiechem odbyła swą podróż z powrotem w górę. Gdy stanęła już na dającym swem miejscu, tajemnica zaczęła się widzom tłómaczyć, bo nagle przez mały otwór w kuli ukazała się chorągiew, a następnie rozlegl się strzał. Widocznie kula była zamieszkała. Sprawdzono to też niebawem, bo gdy po wystrzale szybko zesunęła się po drugiej stronie pochyłości mostu i spadła na ziemię, wyszedł z niej rozzdzierając szeroko papier, ów mistrz sztuki akrobatycznej. A nie był to żaden karzełek, bo wzrost jego wynosił 1 metr i 56 cent., tylko przez wprawę doszedł do takiej zręczności i giętkości ciała, że umiał się zwinąć jakby w kłębek, nie tracąc przy tem dowolnych ruchów.

## Wystawa starożytności.

(LIST Z WARSZAWY).

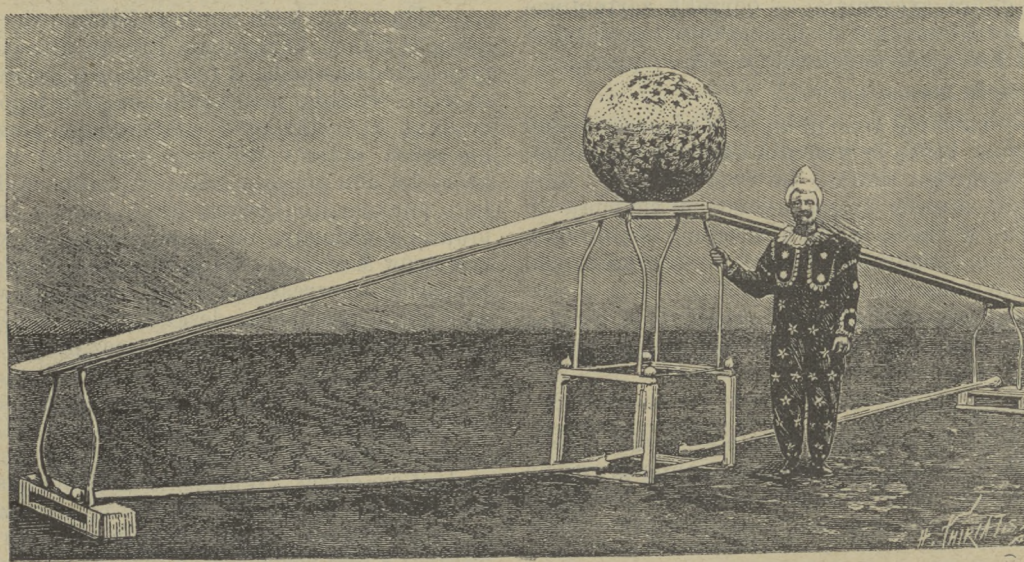
Ponieważ termin konkursu jeszcze nie upłynął, a redakcyja udziela mi łaskawie miejsca, śpieszę przeto podzielić się z czytelnikami memi wrażeniami wystawy starożytności, którą zwiędziłam z wielkiem zajęciem i wielkiem zadwoleciem ciekawości, podnieconej widokiem tylu rzeczy osobliwych i pięknych. Czegóż bo tam niema? Od goleni mamuta aż do klejnotów jest wszystko, co zając może oczy i wyobraźnię. Nie mogłam też oderwać oczu od tych śliczności i dziwów, a co spotkałam panienkę w moim wieku lub młodszą, pożerającą wzrokiem wystawione przedmioty, zaraz sobie myślałam: może to która z moich siostrzyczek? może to jedna z tych, z którymi tak się kochamy serdecznie, choć nie widziałyśmy się i może nie zobaczymy się nigdy? I miałam nawet nieraz ochotę zapytać tę, lub owe: Tyżes to przyjaciółko moja, czy nie ty? Ale... nie wypadało jakoś, znowu więc głowę podnosiłam, lub schylałam, notując sobie w pamięci wszystko, co mi się szczególnie podobało, aby wam to, drogie



moje opisać. Bardzo trafnie postąpił zarząd wystawy, że umieścił w pierwszym zaraz od wejścia pokoju i w poczet *działu I-go* zaliczył wykopaliska, będące jak wiecie, starożytnościami z czasów pogańskich. Są tam wyroby kamienne, ze wszystkich najdawniejsze brązowe, oraz najpóźniej w użycie weszły żelazne; są złote, srebrne, gliniane, są szczątki tkanin ze złotą nicią, znalezione w prastarych kurhanach. Nie można powiedzieć, aby to wszystko było *piękne*, według dzisiejszych naszych pojęć o pięknie, ale wszystko jest godne uwagi przez odwieczną dawność swoją. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy w proch się rozpadły zwłoki wojownika, co dzierzył w dłoni buławę z serpentynu, lub topór z brązu z wyobrażeniem na obu stronach fantastycznych zwierząt czworonogich! Gdzie są popioły niewiast, które zdobiły warokcze szpilkami brązowymi różnego kształtu i różnej wielkości, a na szyi wieszały paciorki z kamienia i ze szkła, także w starych kurhanach znalezione? Z epoki bezpośrednio poprzedzającej przyjęcie chrześcijaństwa przez Słowian, t. j.

od XVI-go do końca XVIII-go wieku, kolekcje medali historycznych, odnoszących się do historii kościoła katolickiego w naszym kraju. Są tu także ordery, gwiazdy, dystyngtoryja kapituł i inne oznaki zasługi, a nawet klucze szambelańskie i znaki łóż masońskich. Kolekcja pieczęci zawiera zabytki dawniejsze od monet i medali są; są bowiem pieczęcie sięgające początków w. XIII-go, a uporządkowane chronologiczne aż do początku w. XVI-go tworzą zbiór bardzo ciekawych i rzadkich okazów. Rękopisma, druki i oprawy książek mieszczące się w *dziale III-im* mają wartość archeologiczną, wolę ja jednak dzisiejsze nasze książki lekkie, zgrabne, do przenoszenia łatwe niż owe wolumenta i foljały, łańcuszkami do pulpitów przytwierdzone, z których w owych czasach czerpać było trzeba wiedzę. Podobały mi się tu ozdobne choć ciężkie oprawy książek od nabożeństwa, a oczu oderwać nie mogłam od autografu Mickiewicza... Jakże go zazdroścę szczęśliwemu posiadaczowi takiej pamiątki!

*Dział IV-ty* sprzętów i naczyń kościelnych zawiera już



Tajemnicza kula.

od V-go do X-go w. po Chr. są obok sierpów i kluczy, szczątki złotego haftu oraz tkanin jedwabnych i wełnianych, jest lusterko brązowe i t. p. przedmioty, dowodzące pewnego stopnia cywilizacji oraz oglądy towarzyskiej. Zamiast kamiennych narzędzi w kształcie młota są już hełmy, strzały, żelazne ostrza różnego kształtu, oraz monety bizantyńskiego i arabskiego pochodzenia. Wszystko to znalezione w kurhanach z okolic Czernihowa lub Kijowa, w mogile rozkopanej pod Piatyhorskiem, w cmentarzyskach tak litewskich jak i tutejszych przedhistorycznych jeszcze, które odkryto nad Wisłą, Bzurą, lub Wieprzem. Obok tych zabytków słowiańskich i pogańsko-litewskich znajduje się też i parę przedmiotów glinianych staro-greckiego lub etruskiego pochodzenia; uderzają one odrębnością i harmonią kształtów. Jeżeli amfora starogrecka wykopana w Koryncie, przypominała mi pięknoscią swoją wszystko, co kiedykolwiek słyszałam na lekcyjach o poczuciu estetycznym, jakim odznaczali się Grecy, to znowu brązowe naczynie ofiarne (*cista* zwane) z wyobrażeniami słońca, koni i ptactwa wodnego, przypominało mi pogańskie czasy tak poetycznie przez Kraszewskiego opisane w „Starój Baśni”.

*Dział II-gi* obejmuje stare monety, medale i pieczęcie; i zawiera piękne a niezmiernie cenne zbiory monet naszych

przedmioty nie tylko dawnością swoją, ale i pięknoscią cenne. Nie mówię tu, ma się rozumieć o zabytku średniowiecznej sztuki (w XIV-ty) najwinnie przedstawiającym Chrystusa na osielku wielkości żrebięcia, (figurę tę, umieszczoną na wózku, wożono podczas procesji w Kwietnią niedzielę), ale ileż tu pysznych koronek, zdobiący bieliznę kościelną, ile pracowitych, wspaniałych haftów, wypukło złotem i srebrem wykonanych, ile naczyń srebrnych lub złotych kunsztownie cyzelowanych, ile pięknych wyrobów z drzewa, jak np. krzyż cedrowy, inkrustowany grawirowaną perłową masą, z wizerunkiem Ukrzyżowanego po środku! Na rogach widać czterech Ewangelistów, na trójkątnej podstawie. Złożenie do gróbu. Wyrób ten pochodzi z X-go wieku i opatrzony jest napisami greckimi. Bardzo równie pięknym jest Ciborium hebanowe gdańskiego wyrobu (stylu tak zwanego *barocco*) okryte srebrnymi ozdobami; ale trudno wyobrazić sobie sprzęt drewniany piękniejszy nad szafę z zakrystyi św. Anny, z inkrustowanymi figurami także z drzewa, wyobrażającymi Zwiastowanie Matki Boskiej oraz Czterech Ewangelistów. Kształt owęj szafy poważny a lekki, misterna jęj robota, bogactwo ozdób, z których każda ma emblematyczne znaczenie, zachwycały mnie tak, że odejść od niej nie mogłam. A tu jeszcze tyle rzeczy widzieć warto! Starożytny kielich srebrny z wie-

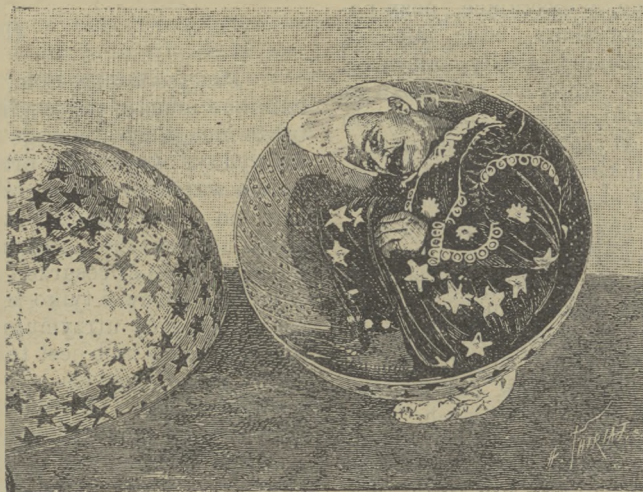


ku XIII-go, kielich z drzewa kokosowego, cały rzeźbą okryty (w. XVI) również stare ornaty, wybornie zachowane, i starsza od nich stula, pochodząca z Kruszwicy, z X-go *wyraźnic z dziesiątego* jeszcze wieku; wspaniałe monstrance, na udźwignięcie których trzeba siły nielada, krzyż bursztynowy, wysmukły przezroczysty, ciemno-złoty... Nie! nigdybym nie skończyła, gdybym chciała wyliczać wszystkie owe zabytki, artystyczną już wartość mające, a po kościołach naszych przechowywane! Jeszcze tylko wspomnę ołtarzyk połowy własnoręcznej podobno roboty Zygmunta III-go cały srebrny, a ofiarowany katedrze plockiej przez żonę Zygmunta, Konstancję Austryacką, i bojąc się, aby mi miejsca nie zabrakło, przeskakuję... do ozdób kobiecego stroju, należących do *działu V-go*. Sliczności też tu nielada! drogie kamienie od których blasku oczy boją, zegarki i zegareczki przeróżnych kształtów, tabakierki, z których każda jest cackiem, bukiet z potwornie wielkich pereł i ogromnych ametystów, kamee równie stare jak piękne, miniatury w kosztownej po większej części oprawie. Są między nimi twarze osób, których nazwiska ze czcią w pamięć wrażamy, są buzie urodą kwitnące, są oblicza słynnych na cały świat znakomitości. Z klejnotów podobał mi się głównie jeden nie bijący w oczy, a przepyszny naszyjnik, dyadem, grzebień i kolczyki złote z medalionami mozaikowymi, połączonymi pomiędzy sobą podwójnym sznurkiem drobnych pereł. Skromne to niby, a przecie musi być *klejnotem* w całym znaczeniu tego wyrazu, skoro garnitur ten jest darem ofiarowanym przez miasto Medyolan ks. Amalii Bari. Był on potem własnością królowej szwedzkiej, dziś przeszedł w ręce prywatne. Królewski to strój prawdziwie: wspaniała a skromny!

Cenniejsze od królewskich, bo rycerskie stroje, zawiera *dział VI-ty*. Należą do nich zbroje stare, broń wojenna i myśliwska, tarcze, godła wojskowe, siodła, rzędy, wszystko dawne, ciężkie, mocnej a czasem i misterniej roboty, wszystko dowodzące, że dla dawnych ludzi wojna była powszednim chlebem życia, powołaniem ich niejako i zawodem, a wybór do niej stanowił nieraz jedyny majątek szlachcica i służył mu za poświadczenie prawdziwości „*klejnotu*” szlacheckiego. Jakiemiż to jednak siłaczami musieli być ludzie, którzy bić się i zwyciężać umieli w tych hełmach o kratowanej przyłbicy, w tych zbrojach stalowych, rytych w wizerunek Chrystusa, lub pobożne sentencje (na jednej z nich jest przełożone z Koranu zdanie: „*My zdajemy się na Pana Boga*”) szumiących skrzydłami husarskimi! A też kolczugi z czepcami z ogni w stalowych, te naszyjniki w kształcie karpiej łuszczyki, klapy na dłonie, nałokcice, nagolenniki, całe to żelaztwo, które dźwigał na sobie wojownik średniowieczny, zgniotło by chyba swym ciężarem ludzi dzisiejszych! Ciężar to przeszłości szacowny, a do podźwignięcia nielatwy... Obok tych przedmiotów nasuwających tyle poważnych myśli, jakimiż małostkami wydają się fatalaszki w zeszłym wieku do stroju męskiego służące! Obok rycerza w pełnej zbroi z żelazną tarczą na ręce, z ryngrafem z Matką Boską na piersi, z mieczem lub karabelą w dłoni, a stalową buławą pod kolanem, jakże by śmiesznie wyglądał człowieczek w kolorowym, złotem haftowanym fraczku aksamitnym, w koronkowych żabotach i jedwabnych pończoszках! Nie myślcie jednak, aby Gołąbka wasza przedwczesną udając powagę, nie rzuciła pełnych zachwyty spojrzeń w głąb oszklonej szafki, gdzie jaśnie niespłowiała dotąd różowością wspaniała suknia atlasowa, w kwiaty haftowana, srebrnymi koronkami zdobna, którą

jedna z wielkich pań zeszlowiecznych miała na uroczystości dworskiej! Ale tak od niej, jak i od obcisłej koronkowej sukni z czasów Dyrektoryatu, powróciłam jeszcze do stroju męskiego: do tych przepysznych pasów litych, złotem lub srebrem przerabianych, słuckiego wyrobu lub wschodniego, ciężkich, wzorzystych, a dziwnie świeżą barwę jeszcze mających. W tymże dziale są jeszcze globusy, zegary słoneczne, kompasy, między które warto uwagi kompas z kości słoniowej (wykonany w Norymberdze w XVII w.) z zegarem słonecznym i kalendarzem wiecznym. Ciekawym też przez starożytność swoją jest kalendarz na kiju bukowym, ozdobiony runicznymi znakami i symbolicznymi rysunkami. Pochodzi on z Litwy... kto wie? używał go może i drążek wspierał na nim kroki wajdelota jaki lub ojciec uroczej Pojaty? I znowu zabawna sprzeczność: niedaleko zabytku prastarych czasów pogańskich, leży fajka! Piękna, kamieniami wryszadzana, ozdobiona miniaturą córki Jana Sobieskiego Teresy Kunegundy, choć nie przypuszczam, aby służyła kiedykolwiek do jej osobistego użytku?

W *dziale VII-ym* przedewszystkiem uderzają przepyszne sprzęty domowe, tak te, które pochodzą z pałaców cesarskich jak i Wilanowskie. Pokój Maryi Kazimiery żywcem tu przeniesiony, sprzęty poustawiane, zdaje się, że tylko patrzeć ślicznej kapryśnicy „*Marysieńki*”, której marmurowe popiersie biegle w rogu pokoju. Trudno sobie wyobrazić misterniejsze cacka w zakresie stolarszczyzny, jak te staroświeckie sepeciki, wykładane szyldkretem i hebanem, lub nad chiński kantorek bronzami ozdobiony. Poważne i okazałe, lub wytworne i lekkie, wszystkie te stare sprzęty mają właściwy sobie powab; ma go nawet przeogromna szafa gdańska, w której mógłby śmiało zamieszkać pięcioletni mój siostrzeńczyk, figlarz i zbytnik jakich mało. Pokoiki, których w szafie tej miećby można parę, poprzegradzałabym ścianami, wzniesionymi z tych prześlicznych



szkatulek, szkatuleczek, kasetek, pudełek wykładanych szyldkretem i kością słoniową, okutych żelazem w ażur wycinanym, zdobnych bronzami i marmurową mozaiką, jednym słowem szkatulek takich, do których chowało by się z rozkoszą klejnociki swoje i pamiątki. Ach! co to za szkatułki! ciągle mam je na oczach...

Daliej rzeźby i płaskorzeźby z marmuru, alabastru, słoniowej kości, bronzu, górnego kryształu, hebanu, bukszpanu z przeróżnych jednym słowem materiałów, spoistością i barwą nadających się do rzeźbienia. Oryginalny jest różaniec, którego paciorki rzeźbione w pestkach morelowych; stanowił on miał niegdyś własność Cecylii Renaty. Może pobożna królowa modliła się na nim o zdrowie swego jedynaka? Tak wcześniej zostawić go miała sierotą, a tak prędko podążyła za nią królewiczek. Koło instrumentów muzycznych przechodzę obojętnie, bo się nic na nich nie znam, katalog objaśnia mnie tylko o ich wartości; tak kształtem jak i gustowną ornamentacją uderza mnie wszakże lira wcale nie starożytna, bo pochodząca z pierwszych lat bieżącego stulecia, oraz prześliczny szpinciek, pradziadek dzisiejszego pianina. Idę w stronę sreber, które zdała mi błyskają metalową lub zwierciadlaną białością i stają w zachwycie przed srebrnym filigranowym kufereczkiem z XVIII-go w. którego, gdybym właścicielką jego była, powierzyłabym do przechowania najpiękniejszą z wzbudających moją zazdrość szkatulek wystawowych. Srebrny przyrząd do pisania podobno po arcyksięciu Maksymilianie, kowana srebrna taca



z postacią kłęzącą Estery na środku, rektorskie berła Akademii w Zamościu, wszystko to ma wartość artystyczną i pamiątkową. Trzeba jednak iść dalej, choć już prawie oczy bołą od patrzenia. Patrzą jednak i widzę zegary, ale to zegarów takie mnóstwo, że mimowoli przychodzi mi na myśl, jak drogim musi być czas, skoro ludzie tak dbają o wymierzenie go. Nie brak też i wspaniałych kandelabrow, których najbardziej mi się podobały dwa kryształowe na marmurowych podstawach. Tuż obok wytwornych przedmiotów zbytku stoją proste sprzęty domowe do codziennego użycia służące: mosiężne misy, cynowy kufel, wielka cynowa konew, bronzami ozdobiona i opatrzona napisami, dowodzącymi, jako była niegdyś własnością cechu tkaczy; jest nawet wanna miedziana z XVII w. i z tegoż samego metalu skarbonka z leżącym na niej lwem, własność zgromadzenia czeładzi kotlarskiej. Kościół katedralny płocki, bardzo, jak się pokazuje, bogaty w stare zabytki, przysłał cztery lawaterze mosiężne przedstawiające postacie i sceny z Pisma świętego; jeden z nich pochodzi z XV-go aż wieku, drugi o całe stulecie młodszy. Kropielnice, kałamarze, wazon, kubki, talerze, dawne wyroby krajowe, także na uwagę zasługują jako wcale piękne, a tem piękniejsze, że swoje. Nie mniej jednak pięknymi są fajansy i porcelany zagraniczne, mające nieraz dla znawców ogromną wartość. Wszystko to barwiste, wzorzyste, złoczone, połyskujące, oczy porywa ku sobie. Figurki z saskiej porcelany, istne laleczki; indyk fajansowy, sroka i sarna z porcelany saskiej, jak żywe! Papuga ledwo nie zagada; pinczerek, zdaje się zaszczeka za chwilę, oboje także z porcelany saskiej, z której podobne tym cacka bardzo były niegdyś modne. Wyroby sewrskie, odznaczają się delikatniejszym jakimś smakiem, chińskie i japońskie większą oryginalnością, a największą znowu z rzadkości są emaliowane talerze z Limoges z nazwami miesięcy i wyobrażeniem zajęć przypadających na każdy miesiąc. Jest ich 12; na odwrotnej stronie mają popiersia panujących z XVI wieku. Na ścianach wiszą tu i owdzie makaty słuckie i wschodnie, złotem i srebrem lite, kolorowym haftem ozdobne, gobeliny cenione dziś nieledwie na wagę złota, a przedstawiające często portrety osób historycznych, tak zwane „tapisery”, służące dawniej do obijania ścian pałacowych, temu wszystkiemu przyglądam się tak długo, że wołają na mnie: „Czas iść do domu Gołąbko! czy myślisz tu zanoćować?” Nie! wcale nie mam tego zamiaru! chciałabym tylko obejrzeć wszystko, co jest, a choć już tyle widziałem, jednak przedmiotów ciągle się zdaje przybywać. Oglądamy więc jeszcze, choć już bardzo pobieżnie, zbiory prywatne; w jednym z nich zwracają uwagę waszję Gołąbki dwa sprzączki, jak raz do pokoju lalek stosowne (niech że mnie kto, broń Boże, nie posądzi że się jeszcze lalkami bawię! Tak sobie... widuję je tylko czasami). Na wół otoczona malutkim parawanikiem stoi również malutka lektyka; obie widocznie garniturek stanowią, oboje starożytnym haftem pokryte, ale w lektyce zamiast strojnych laleczek, którym byłoby tam bardzo do twarzy, znajdują się prześliczne miniaturowo maleńkie wazoniki ze starą saskiej porcelany.

W dziale VIII-ym przedmioty sztuki nowożytnej, aczkolwiek śliczne, gustowne, wabiące, mniej mnie jednak zaciekawiają; powiadam sobie, patrząc na nie, że je codzień zobaczyć mogę, że za lat dziesięć, dwadzieścia, przemysł i rekodzieła większe jeszcze postępy uczynią, jeszcze większe dziwy wytworzą...

Przedewszystkiem zaś powiadam sobie, że... że nie wiem co redakcja *powie* na list tak nieskończenie długi? A upominano mnie: „N. rozpisz się tylko za obszernie Gołąbko!” Ładnie usłuchałam! niema co mówić... Alebo pisząc do was, kochani, Gołąbka wasza chciałaby wypowiedzieć wszystko co wie, co myśli, co czuje i przez wzgląd na to jej szczerze zajęcie się wami, redakcja wybaczy jej może nieposłuszeństwo.

Jakkolwiek, wielu moich czytelników dla zbyt młodego wieku, nie bywa w teatrze, (gdzie za to częstszymi gośćmi być muszą ich starsi bracia) to jednak niebojętną im będzie wiadomość, że d. 25 Listopada rozstał się z tym światem Alojzy Żółkowski, znakomity artysta dramatyczny, któ-

rego talent głównie się przyczynił do wyniesienia sceny warszawskiej na stanowisko jednej z pierwszorzędných scen europejskich. Syn głośnego także w swoim czasie artysty i redaktora Momusa, Żółkowski urodził się w r. 1814, sędziwym więc już był starcem, ale do końca pozostał wiernym obowiązkom umiłowanego zawodu, bo na kilka dni przed śmiercią uczył się jeszcze nową roli. Wszyscy zgodnie twierdzą, że był to aktor niepospolity, którego talent równie rozległy jak giętki, nadawał się do odtworzenia postaci różnego rodzaju; najwyborniej jednak oddawał role komiczne, pobudzając nieraz całą salę do śmiechu jednym ruchem lub słowem. Niezliczone tłumy stanowiły orszak pogrzebowy artysty, z którego śmiercią sztuka nasza poniosła niepowetowaną stratę.

Teraz zaś sercu waszemu się poleca, wierna wam zawsze.

Gołąbka.

## WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

### Z PODRÓŻY NAKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Przejechawszy Solo, zwane także Surakarta duże i zaludnione miasto, pojechaliśmy zaraz do Dżokżokarta, stolicy także innego miejscowego cesarzyka, który kilka razy do roku wydaje wspaniałe przyjęcia i uroczystości, zapraszając na nie wszelkich gości przejezdnych. Szkoda, że nie trafiliśmy na chwilę takich przyjęć, które muszą być bardzo ciekawe. Zauważyłem teraz moja Wańdziu, bo mnie to niezmiernie zajęło, że ci cesarze i sułtani są pod panowaniem od dawna Holendrów i tylko ze względów politycznych, aby ludności nie burzyć, utrzymują ich przy pozorach władzy. W stolicy każdego z nich jest też drugi współ władzca, ksiączę miejscowy jako dowódzca siły zbrojnej, której tamten cesarz nie posiada wcale. Oczywiście takie zestawienie dwóch władz miejscowych musi pomiędzy nimi wyradzać swary, z których korzystają Holendrzy godzący te swary i ten sposób z każdą chwilą zyskający większe wpływy, a z niemi i władzę na wyspie, bez wojny i wszelkich środków gwałtownych.

Skutkiem takiego systemu 40,000 Europejczyków rządzą tu spokojnie i swobodnie 22 milionami Jawańczyków, a koroną całego systemu i rzeczywistego rządu zarazem, jest w każdej stolicy udzielnych cesarzy i sułtanów nieduża, lecz i wedle najnowszych zasad wojennych zbudowana twierdza holenderska... stojąca zawsze na wprost pałacu miejscowego władcy.

W krajach tutejszych książęcych „Vorsten-landen” jak je nazywają Holendrzy prawie wszystkie drogi i ulice podzielone są na trzy przedziały, dla pańskich powozów, dla wózków i dla pieszych, ale wszystko tu zaniedbane, mosty popsute tak, że trudno jest przebywać liczne i bystre po większej części strumienie: po takim zaniedbaniu porządków ogólnych można odrazu poznać miejscowości zostające nie pod bezpośrednim zarządem holenderskim.

Wiadomo ci Wańdziu tak, jak każdemu z nas uczących się, że w Jawie mnóstwo jest starożytnych zabytków, otóż jadąc z Dżokżokarta napotkaliśmy najprzód „Mandut” taki ładny budynek, że nawet mnie się podobał, pan Antoni zachwycał się nim, rysował go, i powiedział, że budowla ta niedawno została znalezioną i odkopaną z wnętrza wzgórza, w którym, od licznych wieków zapewne, pozostawała pod ziemią. Trochę dalej stoi jeszcze piękniejsza malutka świątynka starożytna, wewnątrz w pośrodku wyrosło potężne drzewo i wkrótce zapewne wyróci to arcydziełko miejscowej architektury, na które nikt nie zdaje się zwracać uwagi.

— Oto jest Boro-Budur! — powiada przewodnik.

— Czterdzieści kilometrów na zachód od Dżokżokarta... — mruczy pan Antoni zapisując. Stoimy przed naj-



słynniejszym i najlepiej zachowanym zabytkiem jawańskich budowlanych starożytności, znajdującym się na szczycie małego wzgórza. Jest to budowa wspaniała, dziwna, ciekawa widzę to nawet ja, niekompetentny, przepraszam, nieznający się na rzeczy, ale mimo to, czem ona jest właściwie, albo raczej, czem była, świątynią, czy jakimś pomnikiem na cześć Buddy wystawionym, tego doprawdy nie wiem. Co gorsza, zdaje się że pan Antoni nie jest tego pewnym i z całą naiwnością uczonego, przyznaje się do niewiadomości, czegooby pewno lada mędrak nie uczynił. Na szczycie wzgórza stoi coś ogromnego, zbudowanego z głazów potężnych, niby piramida, niby pomnik, niby świątynia, na podstawie kwadratów, olbrzymich rozmiarów. I jest tu siedm pięter „odkrytych galeryj”, jak to nazywa pan Antoni, jabym po naszymu powiedział raczej „krużganków”, a te wiodą w górę do szczytu olbrzymiej kopuły. Jednym słowem, Boro-Budur jest świątynia, cała na zewnątrz, widzialna, a przyznać trzeba, że ma czem przed światem się pochlubić, bo to co ci opisałem służy tylko za podstawę dla niezliczonych posągów, rzeźb, płaskorzeźb; niema ani jednego miejsca pustego na kamiennych ścianach tych odkrytych galeryj, najdziwniejsze postacie, ale wszystkie piękne zawsze, artystycznie piękne, powołane do wiecznego prawie, a przynajmniej niezliczenie wiekowego życia dżutem mistrzów artystów; zapełniają one ściany i ich zręby. Są tam z niesłychaną wyrazistością przedstawione różne bez liku sceny, łowieckie, wojenne, wjazdy tryumfalne, pochody narodowe, domowe uroczystości... A wśród tego bezliku i bezmiarów szczegółów, widzisz na wszystkie strony Buddę w naturalnych ludzkich rozmiarach siedzącego ze skrzyżowanymi nogami, ze spokojnym uśmiechem spoglądającego wyraziście z głębi delikatnie okratowanych nisz na przechodnia...

— To jest pomnik nie tylko Buddy, lecz i całej minionej przeszłości jawańskiego ludu!... — wołał pan Antoni w pierwszym zachwycie pędząc co sił przez te krużganki, ale nim dostaliśmy się do kopuły, załamała ręce wdychając rozpaczliwie:

— Ileż to istnień ludzkich całkowitych, zapełnionych ciężką umiejętną pracą, trzebaby na jakie takie rozklasyfikowanie skarbów, zawartych w tej kamiennej księdze!...

Istotnie, nawet ja czułem, że ten ogrom i ten przepych myśli, artyzmu i szczegółów, przynębia. Pan Antoni pewien jest, że budowa Boro-Budur sięga IX wieku i że należy zaliczyć pomnik ten do cudów świata.

Też nocny powróciliśmy do hotelu w Dżokzokarta, zkąd ruszyliśmy znowu do Solo, a 24 Czerwca z Solo czyli Surakarta wyjechaliśmy bardzo rano do pobliskiego Boyolali, gdzie przenocowawszy, dosiedliśmy koni i poezeli pięć się znowu na wulkan Merapi, wznoszący się na 2,800 metrów ponad otaczającą go równinę, widzialny ciągle ze wszystkich okolic, w których byliśmy dotąd i uważany jako niedostępny przez tuziemców. Pięliśmy się długo pod górę, aż na wysokości 800 metrów, ujrzelśmy wielkie plantacje kawy: małe te drogocenne krzewy najwyżej dochodzące trzech metrów i niedopuszczane do wyrastania bardziej, rosną w cieniu innych drzew olbrzymich, które chronią je od zbytku płomiennego słońca. Droga wszędzie cudowna, a na pewnej wysokości wśród całego przepychu podrównikowej przyrody, drzew, owoców i kwiatów, ujrzelśmy w wiosce Sélo przy domu rządcy ogród przepelniony wszelkimi europejskimi drzewami owocowymi, kwiatami, warzywami. Banany, ananasy, orzechy kokosowe i inne miejscowe przysmaki tak mi już spowszedniały, że z dziecinną uciechą rzuciłem się na poziomki, brzoskwinie, śliwki, gdy grzeczny urzędnik zaprosił mię na nie do owego ogrodu. Wszystko to większe i piękniejsze tutaj wyrasta niż u nas, ale udaje się dopiero na tej wysokości wynoszącej 1,585 metrów, bo tu dopiero panuje odpowiednia naszej temperatura. W dniu naszego tam pobytu było tylko 20 stopni ciepła. Kwiaty i owoce znajdują się na jednym i temże samem drzewku lub krzewie, a to wszystko tak gęsto, że mogłem wprost zrywać garściami i kłaść do ust owoc prześliczny dojrzwały, gdyby nie to że nie

chciałem jednocześnie kwiatu uszkodzić. Grzeczny zarządca miejscowy zaprosił nas, to jest pana Antoniego ze mną na „risttafel” i przy stole opowiadał, że Europejczycy zwiedzający tutejsze krainy, a mianowicie wstępujący na Marapi są bardzo nieliczni, a z tych zapamiętał on nazwisko *Ernesta Griolet de Geer*, który chociaż głuchoniemy od urodzenia, jest zapalonym podróżnikiem obecnie.

Niezmiernie wczesnym porankiem, o pierwszym brzasku ruszamy na dalszą wycieczkę, gromada ludzi stoi przed hotelem.

— Prosiłem pana o dwóch przewodników i dwóch „tragarzy” — mówi pan Antoni do właściciela zjawiającego się we drzwiach.

— A oto ich pan masz — odpowiada tamten wskazując owę gromadę.

— Ależ ja potrzebuję tylko czterech ludzi.

— Zatem, wybieraj pan; każdy może zostać przewodnikiem, bo drogę zna doskonale, a lada pozór do przechadzki chwytą skwapliwie, lecz gdy owoców po drodze zabraknie, a podróż stanie się uciążliwą wszyscy uciekną, jeżeli się pan nie zabezpieczysz.

Nauczony już poprzedniami zatargami pan Antoni, usłuchał ostrzeżenia i opisał umowę z czterema przewodnikami, jakby jakiego nowo-odkrytego węża opisywał, poczem poszliśmy gromadą przeszło dwudziestu osób a może właściwiej powiedzieć „istot”, gdyż wyraz „osoby” trudno jakoś zastosować do kilkunastu ciemno-brązowych, małych a niezmiernie ruchliwych cudaczków świecących od stóp do głowy, jakby z ciemnego szkła ulanych, które skaczą naokoło nas jakby „sztuki pokazywali”. Z gawędy ich zrozumiałem po jakimś czasie, że się zmęczeni.

— Pewno to tylko wam się zmęczyły, sprobójcie dla odpczynku nogom, iść teraz na głowach — powiedziałem i natychmiast cały ten orszak stanął na głowach i rękach tak zręcznie jak wprawni akrobaci; przy wejściu w łożysko po wyschłym potoku dzieciarnia pierzchła. Przeszliśmy potem jeszcze nędzny łąn kukurydzowy i szło się dalej coraz bardziej przykrym stokiem pod górę spadzistą: nie było ani lasów ani paproci olbrzymich, na stokach wulkanu Merapi powyżej 1860 metrów, rosną tylko krzaki, których czepiać się trzeba przy wdzieraniu się, i czułki maleńkie, drgające za dotknięciem. Jak bardzo stromą jest góra, bierz miarę z tego faktu, że w ciągu trzech wyraźnie trzech godzin dopędziliśmy, bo chyba tak trzeba to nazwać, na kraniec roślinności, to jest na wysokości 2,600 metrów.

— Czekajcie no panowie — rzecze jeden z przewodników — teraz ja pójde przodem, a wy jeden za drugim za mną... Ale jeden za drugim! — dodaje, gdy my oba to jest ja z panem Antonim postąpiliśmy za nim trzymając się za ręce jak dotąd i pomagając sobie wzajem wstępować.

Zważaj Wandziu, że było to powiedziane w tym mieszanym języku tutejszym, w którym nie wiem doprawdy jakichby pierwiastków odnaleźć nie można, ale który mimo to, nawet dla pana Antoniego nie zawsze jest zrozumiały. To też drugi przewodnik rzecze:

— Ej, bo ty źle mówisz i panowie ciebie nie rozumieją, czekaj, niech ja pójde naprzód a panowie za mną po jednym, to lepiej będzie... — i skoczył ku pierwszemu, usiłując usunąć go z miejsca, na którym stał. Ale tamten się nie dawał, mówiąc:

— Nie chcę!... ja się godziłem, ja prowadzę, ja wezmę połowę zapłaty, a wy wszyscy drugą po...!... — krótki okrzyk zakończył tę niedługą sprzeczkę, jeden z dwóch sprzeczących się znikł...

— Gdzież on pobiegł? — pyta pan Antoni wśród głuchego milczenia.

— Leży w dole... idźcie jeden za drugim... — odpowiada pocichu jeden z trzech pozostałych przewodników.

— Leży w dole? Upadł? Trzeba nań zaczekać, trzeba mu pomódz wstać... gdzież tu jest ten dół?...

— Nie nachylajcie się, idźcie jeden za drugim... „dół”



jest po obu stronach „góry” kto tam wpadnie nie wstaje, bo umarł.

— Na Boga dziecko moje stój w miejscu nie ruszaj się ani krokiem! — zawoła na mnie rozpaczliwym głosem pan Antoni i znowu woła na przewodników:

— Gdzież jest ten dół? krzaki są tylko po obu moich bokach? Gdzie jest dół? ja go nie widzę!

— Nie widzisz bo go zakrywają krzaki i ta mgła, która zimno kroplami nas okrywa... br... po cóż to są na świecie ludzie tacy głupi, że zamiast leżeć w gorącym słońcu i jeść słodkie banany, włączają się po górach, gdzie zimno człowiekowi rozum odbiera, i spadająca woda rani mu ciało; jakby nie dosyć zimna spodziewali się nacierpieć w piekle, gdy diabli doń głupich w swoim czasie zabiorą... No, idźcie ostrożnie jeden za drugim, prosto za mną, bo słyszeliście przecie, że dół jest po obu stronach, a krawędź, po której iść musimy za wążka „na cztery nogi”.

— Czeka! Stój! — rozkazująco i spokojnie rzecze pan Antoni w odpowiedzi na wszystkie powyższe „komplementa” jak u nas ongi nazywano; odwiązał z szyi długi szalik, który był kilkakrotnie okręcony, zwrócił się w miejscu ku mnie, uwiązał mi mocno jeden koniec szalika u pasa, drugi uwiązał sobie i dopiero rzecze: — No chodź prosto za mną.

— Ależ panie... — zacząłem...

— Sza!.. dziecko, później pogadamy, teraz nie czas, idźmy — rzekł spokojnie i poszliśmy. Zimno było trochę i mgła gęsta jak chmura, osiadała na nas w postaci drobnych kropelek, podobnych raczej do szronu, niż do rosy, którą też przewodnicy nasi niezmiernie czuli na zimno, nazywali spadającą wodą. Po jakimś czasie, wśród rzadszej już mgły, wyszliśmy na obszerną przestrzeń wklęsłą, ślad starego bardzo krateru, odpoczywaliśmy tam i jedli śniadanie. Potem wdzieraliśmy się jeszcze pod górę po samych już tylko głazach, popiołach i pumeksach, co wszystko obsuwało się pod stopą za każdym krokiem, aż wyszliśmy na płaską przestrzeń, nie wyraźnie jednak widoczną przez mgłę, jakkolwiek rzadszą tutaj, dalszy widnokrąg zasłonięty był zupełnie. Trzej nasi przewodnicy poupadali na ziemię, pan Antoni obejrzał się baczenie wokoło i spojrzął na zegarek:

— Jedenasta godzina... jesteśmy przy teraźniejszym kraterze „Merapi” 2,866 metrów nad poziomem morza. Gdzież jest krater?

(d. n.)

### SZARADA.

(Niezapominajka z nad Warty dla Semiramis).

*Piewsze rzeka która płynie  
We włoskiej krainie;  
Drugie z trzeciem piękne drzewa,  
Pod jednym z nich, wieszcz nasz śpiewa;  
Wszystko w zoologii bywa  
Wśród zwierzoekrzewów ogniwa.*

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

#### Szarady:

Hi — po — po — tam.

Wszystkim prenumeratom przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

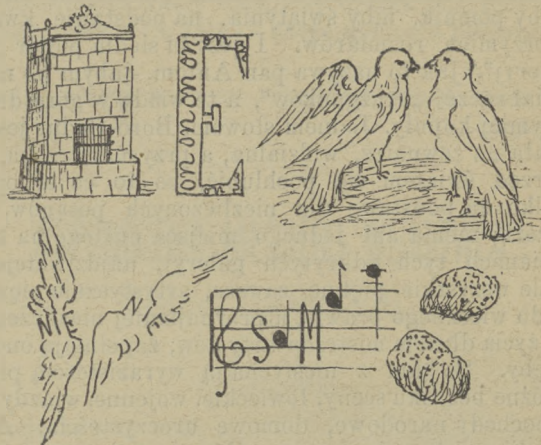
**TREŚĆ:** Tytus Chałubiński, (z drzew.) — Podziemia barwałdzkiego zamku p. Boguchwała (c. d.) — Pieśń, śpiewana na przyładku Heli przez ludność rybacką na nutę krakowską. — Tajemnicza kula, (z drzeworytami) — Wystawa starożytności, (List Gołąbki z Warszawy). — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Nieposłuszeństwo ukarane, wiersz (drzew.) — Prośba Adasia. — Bitwa Francuzów z Prusakami, p. Maryę Brühlową. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

### Łamigłówki zgłoszkowej:

BaczeK—OkO—LibaN—EgeR—Syrokoma—Ład —  
AzóW—WełtawA—CaL—HebeL—RajgrodzkiE — Oregon  
— BaR — ReggiO — YarkanD.

Bolesław Chrobry — Konrad Wallenrod.

### REBUS.



### Od Redakcyi „Kroniki Rodzinnéj”.

**KRONIKA RODZINNA** wychodzić będzie w roku przyszłym 1890-tym w tychże samych warunkach i kierunku. Jak dotąd, podawać będziemy również niewydane listy, rękopisy i pamiętniki znakomitych osobistości, udzielane nam z prywatnych zbiorów. Z działu tego między innymi umieścić zamierzamy w dalszym ciągu *Wyjtki z pamiętników Ignacego Domejki*; studjum *Michała Wiszniowskiego*, przeznaczone do historii literatury i nader cenny rękopis *Józefa Głuchowskiego*. Nie przestają też być współpracownikami naszymi w tym zakresie *Kajetan Kraszewski*, oraz *d-r. Antoni J.*, który nam przyrzekł *Opis zabytków rzeźby i malarstwa w świątyniach podolskich*, oraz *Z teki autografów: korespondencyje ks. St. Chołoniewskiego*. Z artykułów odmiennéj treści mamy również przygotowane do druku: *Rzecz o Malarstwie włoskiem hr. Wojciecha Dzieduszyckiego*, dalszą *Podróż w głąb Islandyi J. Podlewskiego*, autora obrazów z Krainy edredonów, powieść *J. Jerlicza: Z kroniki wiejskiego dworu*. Podawać również będziemy *Pogadanki* w związku z *Kwestyonaryuszem Kroniki Rodzinnéj*, rozpoczętym od lat kilku; oraz korespondencye stałe: z *Paryża*, pani *Seweryny Duchyńskiej* z *Londynu* *Mis Biggs* i z innych znaczniejszych miast europejskich.

Jako dodatek bezpłatny dla prenumeratorów dajemy w roku przyszłym **PAMIĘTNIK Z 1778 ROKU HR. FELIKSA ŁUBIENSKIEGO**. Dla prenumeratorów zaś zupełnie nowych dodajemy także bezpłatnie do wyboru jeden z dodatków z lat przeszłych, to jest; **Pamiętniki Sabiny z Gostkowskich Grzegorzewskiej, Pamiętnik Maryi Wesslówny lub Przygody księcia Marcina Lubomirskiego**.

Oprócz tego zaś dla wszystkich po cenach znizonych możemy oddać wymienione obecnie na okładce „Kroniki” książki pożądane w bibliotekach domowych.





### NIEPOSELUSZEŃSTWO UKARANE.

Tam daleko pod równikiem,  
Gdzie wciąż upał, jak wieść niesie,  
Małpka, między ptactwem dzikiem  
Ze swym malcem żyła w lesie.

Poprzestając skromnie na tem  
Co im dawał las palmowy,  
Nie tęskniła nic za światem  
Szczęsna, w ciszy swój domowej.

Ale w malca próżno chciała  
Przelać swe umiarkowanie,  
Chciwa cukru małpka mała  
Ani myśląc co się stanie,

Wymknąwszy się z pod opieki  
Na cukrową biegnie trzcinę.  
Do plantacyi niedalekiej...  
Myśląc sobie: „Toż nie zginę”.

Nie zginęła w tej podróży  
Lecz ją Negrzy pochwycili  
Za zabawkę ludziom służy  
W ciężkim smutku od tej chwili.

### Prośba Adasia.

Nabiegawszy się porządnie po ogrodzie, a potem wypawszy należycie, Adas sześciolatek, z rumieńcami na okrągłej jak jabłko buzi, wstał z łóżeczka, wypił ze smakiem herbatę, zjadł do odrobiny co mu podano, a potem poszedł do pokoju wuja, młodego ucznia którego dziś jeszcze nie widział, ponieważ wuj całe dnie w klasach przepędzał. Teraz jednakże, wieczorem wuj znajdował się już w swoim pokoju, i klęcząc na krześle, obu łokciami wsparty na stole, co tylko bardzo zagłębionym w nauce ludziom uchodzi rękami podparłszy głowę, a palce zatopiwszy w gęstej czuprynie, nic nie widział, ani słyszał, zaczytany w otwartej książce, jakich z dzieścięć leżało naokoło niego na stole.

Adas zupełnie tak samo, wgramolił się na krzesło i ukląkł na niem po przeciwległej stronie stołu, tak samo podparł się łokciami, a potem sięgnął po jedną z leżących książek:

— Nie ruszać książkil — mruknął wuj uczeń. Adas natychmiast grzecznie cofnął rączkę od książki zakazanej, sądząc że ta właśnie może być w tej chwili wujowi potrzebną, ale natomiast sięgnął po inną:



— Proszę nie ruszać! — mruknął wuj znowu.

— Ha — pomyślał Adaś — widać te obie książki są w tej chwili wujowi potrzebne — i spokojnie sięgnął po trzecią.

— Czy ty nie rozumiesz chłopcze? Czy po turecku mówię ci że masz mi książek nie ruszać! — Zawołał wuj, po raz pierwszy spoglądając nań surowo. Ale Adaś się nie zląkł jakoś:

— Dla czego? — spytał — wuj się uczy, i ja będę się uczył!

— Bardzo dobrze, ucz się więc na twoim elementarzu, ale nie na mojej łacińskiej gramatyce!

— Dla czego nie na gramatyce?

— Dla tego że nie mógłbyś zrozumieć z niej nic wcale!

— Przepraszam wuja: ja już na każdej książce umiem czytać!

— To jeszcze nie dosyć aby tę książkę zrozumieć!

— A czegoż jeszcze potrzeba?

— Potrzeba mieć rozum, a ty go nie masz! — rzekł wuj zniecierpliwiony że się odrywać musi od książki. Adaś umilkł, zamyślił się mocno, posmutniał, myślał, myślał długo, aż wreszcie ozwał się nieśmiało:

— Proszę wujaszka, jeżeli już takie jest na mnie nieszczęście że nie mam rozumu, bez którego się uczyć nie można, to, czyby wujaszek nie był łaskaw nauczyć mię jakim sposobem rozumnym zostać można?

Pomimo całego zajęcia swego, wuj uściskał Adasia za tak serdeczną do nauki ochotę, i przyrzekł mu dopomagać, aby z czasem mógł zostać rozumnym człowiekiem,

## Bitwa Francuzów z Prusakami.

Mała Anielcia córeczka państwa Liryńskich skończyła lat pięć i była bardzo rozsądną, dobrą dziewczynką, prawdziwą pociechą rodziców, i rozkoszą całego domu. Starsza siostrzyczka dwunastoletnia Lucynka, i braciszek Adaś dziewięcioletni, kochali ją serdecznie, a ona również przywiązaniem im odpłacała, i najserdeczniejszą zgodą panowała między nimi. Śliczną była Anielcia, jednakże uroda nie stanowi żadnej zasługi, jeżeli dziecko jest nierozsądnem i niegrzecznem, ale jej wielkie niebieskie oczy, patrzyły z taką łagodnością i słodyczą, jej różowe usteczka tak mile zawsze się uśmiechały, ukazując dwa rzędy ząbków białych jak perełki, a włoski jasno blond, w tak ślicznych kędziorkach wiły się na jej białym czole, że każdy z upodobaniem zatrzymywał wzrok na jej miłej twarzyczce. A przytem taka była porządna, biały fartuszek bez plamy dwa dni nosić mogła, nauczona od mamy, jak należy ochraniać ubranie, zawsze o tem myślała, aby jej przykrości nie zrobić, tyle słyszała o biednych dzieciach, które okryć się czem nie mają, że kiedy mama znoszone już ubrania dawała biednej kobiecie dla jej dzieci, ona nie posiadała się z radości, bo jej sukienki i salopki, mniej zniszczone niż Lucynki i Adasia się okazały. Nie uczyła się jeszcze, bo była za młodą, ale z przyjemnością słuchała lekcji Lucynki i Adasia, których przychodząca nauczycielka, codziennie przez kilka

godzin udzielała. Lucynka nauczyła Anielcię kilka bajeczek, które czystym głosem, z wielkim zrozumieniem wypowiadała. Panna Antonina bona Anielci na chwilę jej nie opuszczała, była bardzo dobrą i łagodną, i pani Liryńska z zupełnem zaufaniem powierzyła jej Anielcię, ale na nieszczęście matka panny Antoniny, mieszkająca kilka mil od Warszawy, ciężko zachorowała i na usilne jej prośby, pani Liryńska pozwoliła Antoninie na parę tygodni pojechać pielęgnować chorą matkę, licząc że przy pomocy Lucynki, potrafi upilnować małą dziewczynkę. Lucynka była bardzo żywą, a czasem i roztrzepaną, mama często ją strofowała, i nie bardzo chętnie powierzała ukochaną dziecinę, gdy ją zatrudnienia domowe na jaką godzinę do tego zmuszały, jednakże od tak dużej panienki wymagać tego mogła.

W kilka dni po odjeździe panny Antoniny, przyjechał do państwa Liryńskich wujaszek, a brat samej pani, znacznie starszy od siostry, siwy, z surową niby twarzą, którą rozjaśniało łagodne spojrzenie. Dzieci nazywały go najdroższym dziaduniem, bo go serdecznie kochały, on im również wielkiem przywiązaniem odpłacał.

Przywiózł mnóstwo rozmaitych zabawek, dwie duże lalki, dla Lucynki śliczną ustrojoną damę z wachlarzem, dla Anielci elegancką krakowiankę. Adaś otrzymał trąbkę, fuzyjkę, i pudełeczko z kapiszonami. Oprócz tego trzy pudełka doskonałych cukierków. Radość była ogólna. Po obiedzie przybyła z wizytą pani Doczkowska z trzema grzecznymi chłopczykami Edziem, Tosiem i Jasiem.

Dzieci bardzo się ucieszyły. To do piero się zabawimy, zawołali, Adaś ma trąbkę, fuzyjkę, pistolet, pójdziemy do ogródka, będziemy się bawić w wojnę. I wybiegli trzymając się za ręce. Państwo Liryńscy, pani Doszkowska i dziadek, zasiedli na werendzie, patrząc na bawiące się dzieci.

— A więc dalej — zawołał Adaś, skacząc wesolo — jest nas sześcioro, ustawiajcie się w szeregu po troje, ja Francuz, wypowiadam wam wojnę Prusakom, jestem waszym generałem i powinniście mi być posłuszni. Do tchórzy i dezerterów strzelać będę, bo mam fuzyjkę nabitą. Ty Edziu będziesz pułkownikiem, oto masz pistolet, reszta pozostałych żołnierzy uzbroi się małemi kijkami; Prusacy niech wybiorą sobie generała.

— Naturalnie Jaś nim będzie — rzekła Lucynka. — Dać mu trąbkę.

— Generał nie trąbi — powiedział Adaś.

— No to dać trąbkę Anielci, a ja wezmę bębenek. Dobrze tak dziaduniu?

— Doskonale — rzekł śmiejąc się dziadunio.

— Ja się także chcę bawić — wołała Anielcia.

— Usiądź lepiej Anielciu i patrz się na ich zabawę, dziewczynki nie biorą do wojska; wyrzekłszy to pani Liryńska weszła do salonu, aby kazać podać kawę w ogrodzie, i we drzwiach odwróciwszy się, rzekła do Lucynki:

— Proszę cię, uważaj na Anielcię i bądź ostrożną.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała Lucynka — trzymać będę za rączkę Anielcię, a starsi na nas patrzają. Nie bój się Anielciu, przecież i kobiety wojowały, dowodem tego Joanna d'Arc — dodała głośniej, popisując się z wiadomościami historycznymi.



— Brawo, brawo, Lucynko — rzekł dziadunio.

— No, zaczynajmy — wołał Adaś. — Naturalnie my Francuzi, zwyciężymy Prusaków. Naprzód zabębniście, i trąbcie.

Uderzono w bębenek, zatrąbiono na trąbce.

Edzio pułkownik wystrzelił z kapiszonu. Inne dzieci podniosły kijki i wołały: Pif, paf, puf i krzyczały co sił. Ein, cwey, draj — zawołała Lucynka, podnosząc kijek, ale w tej chwili Tosio go jęj z ręki wytrącił.

— Ja się boję, ja się już nie chcę bawić — krzyknęła Anielcia.

— No to uciekajmy, Jasiu za nami, i porwawszy za rączkę Anielcię, Lucynka co sił uciekała. Francuzi strzelwszy za niemi, raz jeszcze, puścili się w pogoń, ale Anielcia przerażona nie mogła nadążyć tak szybkiej ucieczce, a Lucynka uniesiona zabawą, zapomniała że ciągnie za sobą małą dziewczynkę i Anielcia potknąwszy się o kamień leżący na ścieżce, padła twarzą na ziemię wydając krzyk bolesny.

— Zraniona — zawołał Edzio — uszanowanie dla rannych, i wszystkie dzieci stanęły.

Właśnie usłyszawszy krzyk Anielci, nadbiegła pani Liryńska. Podniosła dziewczynkę, ale ona na jednej nóżce stanąć nie mogła, bolała ją straszliwie, postąpiła krok jeden wydając jęk bolesny, i upadła na kolana.

Wielkie łzy spływały po jęj ślicznej twarzą.

— To nic mam — rzekła starając się uspokoić — to prze-ej-dzie.

Dzieci stały smutne i pogębione.

Pani Liryńska ciężko zasmucona, wzięła ją ostrożnie na ręce, zaniosiła do sali i położyła na kanapie.

Wszyscy obecni weszli za nią. Ułożono ją na poduszce, i pani Liryńska z wielką troskliwością ściagać zaczęła trzewiczek i pończoszkę. Nie przyszło to z łatwością, gdyż nóżka była opuchniętą. W czasie tej czynności, Anielcia zbladła, zamknęła oczki i omdlała. Krzyknęły z żalu przestraszone dzieci, Lucynka klęcząc przy kanapie załamywała ręce głośno szlochając. Pan Liryński pobiegł w tej chwili po blisko mieszkającego lekarza, i wkrótce z nim przybył.

Otrzeźwiono Anielcię, lekarz obejrzał nóżkę, i oznajmił że cokolwiek nadwzięta, kazał robić kompresy z zimnej wody, czystem białem płótnem obwiązać, nie pozwolił wstać kilka dni z łóżeczka ani chodzić, póki najmniejszy ból czuć będzie.

— O Lucynko, ileś jęj krzywdy wyrządziła swoją nieroztropnością — rzekła z żalem matka.

Lucynka klęcząc całowała Anielcię, przyrzekając w duchu że będzie uważniejszą.

Anielcia uspokojona, otworzywszy oczęta spojrzęła w około siebie, a widząc wszystkich tak zmartwionych, raz jeszcze powtórzyła: To przejdzie dziadunio, to przejdzie, mamuniu nie gniewaj się na Lucynkę i na dzieci, to ja winna żem taka niezgrabna.

Mama ucałowała ją serdecznie, rozebrała i położyła do łóżeczka, goście się rozeszli. Anielcia zasnęła, ale silną miała gorączkę i przez sen wołała. Nie chcę być Prusakiem, nie pójdę nigdy na wojnę.

Pani Liryńska całą noc przy jęj łóżeczku przepędziła dając lekarstwo, gdy się przebudziła, i odmieniając

zimne kompresy. Nad ranem uspokoiła się, gorączka minęła zupełnie i Anielcia spała spokojnie.

Gdy się przebudziła, uśmiechnęła się do matki, mówiąc: A co? nieprawdaż, że dziewczynki nie powinny chodzić na wojnę. Ale nóżka już nie bardzo boli.

Wszyscy bardzo się tem ucieszyli, Lucynka i Adaś zachowywali się jak najspokojniej, uprzedzając wszelkie życzenia dziecinki.

W parę dni nóżka już nic nie dolegała. Anielcia wyzdrowiała zupełnie, i bez bólu chodzić mogła. Lucynka jednak stała się odtąd rozważniejszą, a Adaś był mniej swawolnym, a Anielcia nie pragnęła już podzielać zabaw starszych dzieci.

Marya Brühlowa.

### ZAGADKA.

Z czterech liter ostatnią, łatwo zmieniać mogę,  
Więc, gdy *d* mam ostatnią, to obudzam trwoję,  
Dumny że *zbić* i *wybić* nawet *sabić* mogę;  
Lecz gdy *t* jest ostatnią, nikną me zaszczyty  
I sam bywam zazwyczaj, *zburason*, lub *rozbity*.

### Czarodziejska sztuczka.

(od Białej Ostrożki dla Gołąbki pocztowej).

Poprzekładać litery następujących wyrazów, aby uczyniły pseudonym. *Gąbka, Żłoto, Owea, P.*

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

#### Zagadki:

R ó z a.

#### Łamigłówki w kwadraciku:

I	K	A	R
K	O	R	A
A	R	A	K
R	A	K	I

### Skrzynka do listów.

Wiochna z pod Lublina nie potrzebuje nam się przedstawiać, wszak pracowałyśmy wspólnie z nieodżałowaną naszą „Kochaną panią” znamy zatem dobrze wszystkie miłe korespondentki „Wieszczorów”. Wiochnę zaliczyliśmy do najmiłszych, odezwa jęj przeto uradowała nas bardzo. Prosimy o przysłanie więcej z tego co ma gotowe, a osobliwie dla małych dzieci. Powiastka dana nam obecnie, napisana bardzo gładko, myśli w nięj piękne, brak tylko ożywienia i zajęcia, jakie wymagane jest zwykle w dłuższej zwłaszcza powieści. Wiochna wszakże nie powinna się tem zrażać i ustawać w pracy, do której ma zdolności, bo te z czasem niewątpliwie odznaczają się wybitnie.

Litwinko droga, list twój zaginąć musiał, bo nie odebraliśmy go wcale, w przeciwnym razie bylibyśmy odpowiedzieli tak serdecznie jak na to zasługują serdeczne słowa twoje. Pojmujemy twoje



tęsknotę za domem i chętnie ci przyrzekamy prosić dla ciebie o pomoc tam, z kąd ona najpewniej przybywa. Stylistyka najwięcej używana jest Jeskiego, dla dzieci od 9 — 12 lat koszt. kop. 40. Stylistyka Dygasińskiego kop. 60. Historia Bobrzyńskiego 2 tomy, kosztuje rs. 4.

Kochana Kuropatewka z nad Ikopetiu musi inne nadać przeznaczenie swojej posyłce. Pamięć poczciwego serca zawsze jednako cenimy...

Liściki **Małej Laszki** oraz **Bławatki z nad Horynia**, będą w swoim czasie wydrukowane. Bardzo miło nam było dowiedzieć się bliższych szczegółów o **Małej L.**, która jest już jako na swój wiek *dawną* naszą czytelniczką.

**Fala morska** dostać może żądanej fotografii u Twardzickiego na Niecałaj. Golałka sama wkrótce odpowie na wszystkie do niej odezwy.

**Gwiazda** musi mieć już w ręku numer, zawierający odpowiedź na jej list ostatni. Nagroda już wysłana, postaraj się o upragnioną w następnym konkursie.

**Lucio des E.** nadesłał jak zwykle dobre rozwiązanie.

**Artystka** niepotrzebnie tak się obawia! sądy nasze nie są do zbytku surowe, choć staramy się o to, aby były sprawiedliwe.

**Królowa Wrózek** usprawiedliwia swój pseudonym, skoro tak przenika wszystkich pseudonymów tajemnice. Postanowienie nałożenia do konkursów bardzo nam pochlebia.

Droga Stasiu Abł. w Krakowie! Chciałabym z tobą korespondować, mam lat 13 i o ile się zdaje ty jesteś w moim wieku. Rodzice nasi i babcie są w wielkiej z sobą przyjaźni. Masz 4-ro rodzeństwa, byłaś u nas i więcej ciebie nie widziałyśmy. My obecnie mieszkamy w miejscu kąpielowym L.; mam siostrę starszą i brata młodszego. Zgadnij kto jestem, a bardzo będę rada jeżeli do mnie napiszesz. Czy pisujesz do „Wieczorów”? pod jakim pseudonym. Twoja *Białonóżka z pod Karpat*.

Najdroższa moja Szczęściu! Nieprawdaż, że pocziwem serduszkami, wybaczysz mi żem ci tak długo nie odpisywała? Nie mam ci nic nowego do doniesienia, chyba to, że cię zawsze nad życie kocham, i że niecierpliwie oczekiwać będę twej odpowiedzi. Tyczasem milion razy ściska cię twoja, *Jaskółka wędrowna*.

Kochana srebrna Topolko, żałuję, że nie poznałyśmy się zanim wyjechałam do Petersburga. Jaki pseudonym ma twoja siostra? *Ciocia Figa*.

Donieś mi co u was słycać droga Kalino z nad Węgierki, smutno wam pewnie po śmierci dziadzi? Kiedy ciocia do nas przyjedzie? Przesyła wszystkim uściśnienia *Rezeda*.

Zdecydowałaś się wreszcie, kochany Barwinku napisać do „Wieczorów”. Jak to dobrze, że będziemy mogły z sobą korespondować. Ciebie i Halcię ściska serdecznie *Królowa Elfów*.

Kochana Gazello z gór Śto-Krzyżkich! Musimy być do siebie podobne, bo mama nazywa mię kózką i mieszkam także niedaleko Śgo-Krzyża, na imię mi Jania, a mam lat 8, donieś mi jak tobie na imię, ile masz lat? *Rybka z nad Kamionki*.

Moja miła Gwiazdko z Podola. Nie bawię się lalkami, bo pieniądze na lalkę i cacka wydawane, matczka przeznaczyła na „Wieczory Rodzinne” mam dwie małe siostrzyczki Halkę i Irenkę; jak pojedę do jednej kuzynki, będę się tam bawić lalką paryzką, która głową kiwa i ręce składa. Ściskam cię *Rybka z nad Kamionki*.

Droga Olszyno z nad Skrwy! Mieszkamy teraz w prześlicznej okolicy. Czy będziesz pisywać do „Wieczorów”? Ja chętnie do każdego konkursu należyć bym chciała. Nie znamy się osobiście, ale miałyśmy tę samą nauczycielkę i zawdzięczamy jej wiele dobrego, ucałuj ją od nas serdecznie. *Rezeda*.

Szanowny Kameleonie. Czy nie prenumerujesz „Przyjaciela Dzieci”, bo zastanowiła mnie twoja nazwa spotkana w tem piśmie. Czy ci się podoba „Szesnastoletni Wojewoda”? Mnie bardzo, myślę że Spytek jest główną osobą. Dla czego wybrałeś sobie taki pseudonym? Czy masz taki zmienny charakter? *Bomba*.

Kochana Pszeniczko! Chcę z tobą korespondować. Na imię mi Zosia, mam lat 8, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu, proszę napisz co o sobie, bo czeka odpowiedź *Gwiazdziste Niebo*.

Zmuszona zadowolnić się jednym liścikiem, drogie: Czapło z nad Pohanki, Biała Ostróżko i Góralko, odpisuję razem. Ciebie Czapło zapytuję o zdrowie, zasylam ci uściśnienia, żalując, że nie mogłam cię widzieć w R. Ucałuj Kasię odemnie. Pytasz się biała Ostróżko: „kiedy się zobaczymy” niestety! zapewne nie przed wiosną. Dziękuję ci miłutka Góralko za krzyż z podstawą, który zgadłam. Czy pisałaś na konkurs? Czekam odpowiedzi: *Wisienka z nad Sobu*.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu! Myślałam, że nosisz imię Chrzanowskię, aż redakcyja na moję prośbę wyjaśniła, że ona zwała się Anna. Wszystkie powieści w „Wieczorach” bardzo mi się spodobały; a która najładniejsza? sama nie wiem, bo wszystkie zajmujące. Oczekuję odpowiedzi: *Mazurka z nad Narwi*.

Kochana Kureczko z nad Ikwy. Zdaje mi się, że cię znam, nazywasz się Maniusia S. i mieszkasz w Marjanpolu. Czy zgadłem? *Stańczyk*.

Kochana Różyczko chińska! Dziękuję ci bardzo za twój miły liścik. My wszyscy zdrowi jesteśmy, tylko mój najmłodszy braciszek kaszle i ma katar. Lekcyje już dawno rozpoczęłyśmy, a w przyszłym miesiącu będziemy się uczyć angielskiego języka; bardzo się na to cieszymy, bo ładnych książek jest najwięcej angielskich, a my nadzwyczaj lubimy czytanie. Ściskam cię serdecznie wraz z twemi siostrami, a szczególnie Tołę. *Makolągwa*.

Kochany Kwiecie Paproci! Zdziwił się zapewne, że wiem kim jesteś? Nazywasz się Fila S. Masz cztery siostry i malego braciszka Władzia, mieszkasz w Wołyńs. gub. Czy będziesz należeć do konkursu? Ja chciałabym. Namów siostrę swoją Andzię, aby pisywała do „Wiecz. Rodz.”. Chciałabym z nią korespondować, obie jesteśmy w jednym wieku. Żegnaj cię piękny kwiecie, zgadnij kto się ukrywa pod pseudonymem *Gwiazdy*.

Droga Niezapominajko z nad Warty! Bardzo ci dziękuję za łamigłówkę, którą odgadłam i liścik otrzymany przez „Wieczory”. Od trzech lat czytam to miłe piśmko. Mieszkam nad Tykiczem. Na imię mi Marya, mam lat 14, trzech braci i siostrę, która mię uczy. Donieś mi co o sobie, całuję cię, *Fala morska*.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Proszę napisz mi, kto jesteś i ile masz lat, mnie na imię Ela, mam lat 12. Proszę cię odpisz kochającą cię *Pieszczotce*.

Serdeczne powitanie i dzięki, kochanym i miłym współkorespondentkom Wieczorów, zwłaszcza pamiętającym o mieszkance północnych kresów inflantskich, przesyła *Wiewióreczka inflantska*.

Drogi moje: Staszko z Podola, Jesieni i Baniuto! Dziękuję wam serdecznie za pamięć. Wiedz droga Staszko, że twój przykład dodaje mi odwagi do korespondencyi, gdyż jesteś podobno starszą jeszcze odemnie, a jestem przecie jedną ze zgrzybiałych staruszek! Dawno się nie odzywałaś. Jesieni, dziękuję ci zawsze za to żeś mi umieściła między czytelniczkami, które ściskasz. Ciebie, droga Baniuto, dotychczas nie znalazłam. Witam cię więc jako nową korespondentkę, i proszę o dalszą pamięć i częste liściki. Wiek mojego chyba ci nie wyjawię, bo wiesz, że starcy czynią to nie chętnie, co do imienia, zwę się Julia, mam dwóch braci, jeden 12 letni drugi ośmioletni. Jestem wysokiego wzrostu, pochyło się trzymam (w czym mam nadzieję, że nie jesteś do mnie podobną) i mam ciemne włosy i strasznie krótki wzrok. Co mi nie przeszkadza was widzieć, choć zdaleka miłe korespondentki. Ściskam was, wasza życzliwa *Jaskółka z nad Sekwany*.

Droga Nocy Księżycowa. Wiem już kto jesteś; czemu mi nie odpisujesz i nie przyjeżdżasz? Donoszę ci że powróciłam z Wilna. Co teraz porabiasz? Czy uczysz Stasię? Przy mnie uczy się dwóch braciszków. Wacjo robi wielkie postępy. Czemu nie napiszesz do której ze staruszek? wszak liczysz się do ich grona, winszuję ci tego. Mamie twojej rączki całuję, Ciebie i Stasię jednym połączeniem uściskiem. Kochająca *Rusalka z Dzimityry*.

Porankowi majowemu, Lipie z Pawłówka i Mandarynce posyłam serdeczne pocałunki.